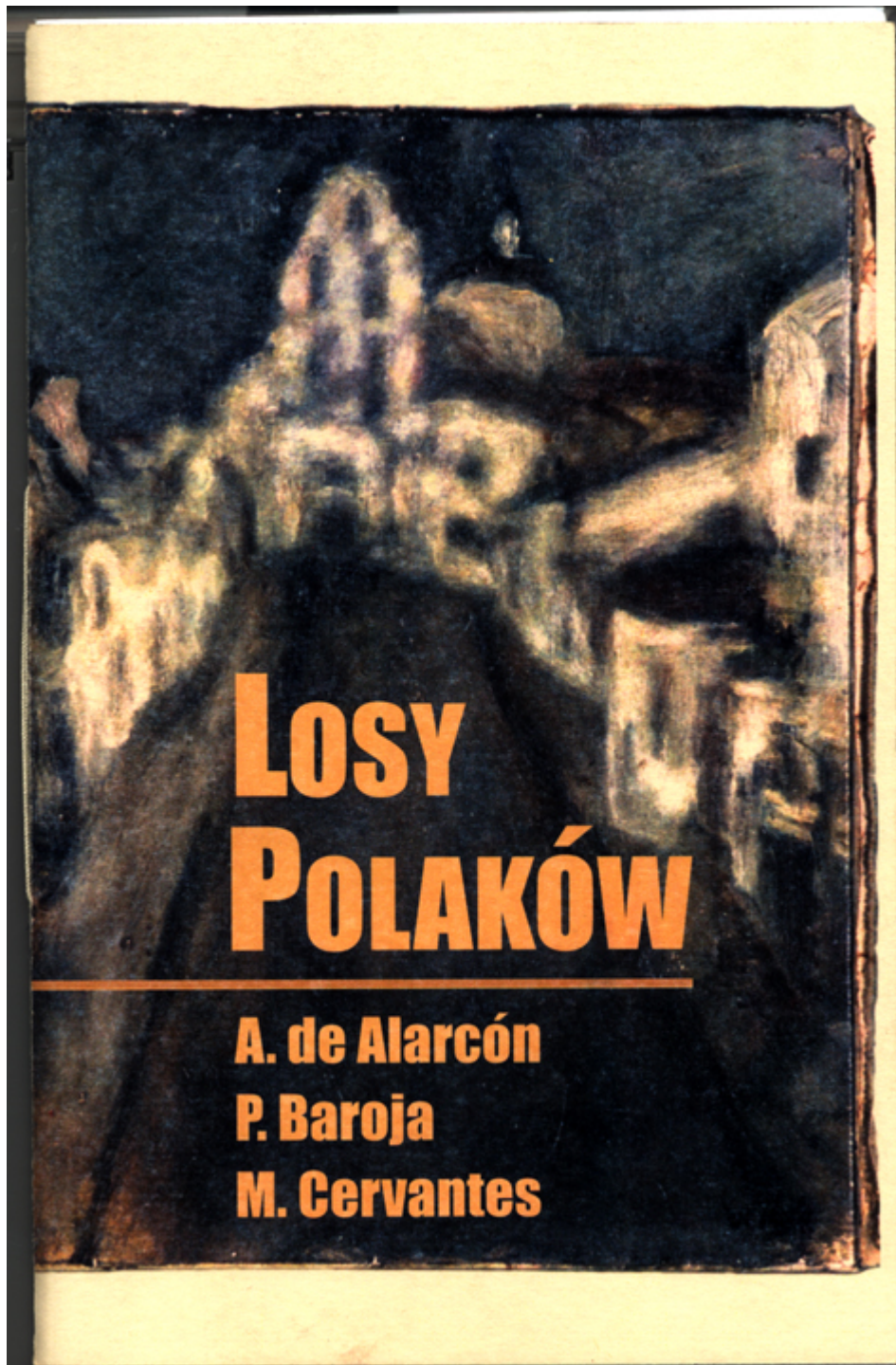


# Cudzoziemiec

**Pedro Antonio de Alarcón (1833-1891)**

**przełożył: Florian Śmieja**



A. de Alarcón, P. Baroja, M. Cervantes, Losy Polaków: trzy opowiadania hiszpańskie,

przełożył Florian Śmieja, Silican House, Missisauga, 2003. Drzeworyt Wilka Markiewicza na okładce.

## I

Siła nie polega na powaleniu nieprzyjaciela na ziemię, ale na opanowaniu własnego szału - powiada wschodnia maksyma.

Nie nadużywaj zwycięstwa, dodaje księga naszej wiary.

Winnego, który dostanie się pod twoją władzę, uważaj za nieszczęśnika poddanego warunkom naszej upadłej natury i na ile to jest w twojej mocy, a bez szkodenia stronie przeciwnej, okaż mu litość i łaskawość, bo choć boskie atrybuty są wszystkie równe, bardziej jaśniej i objawia się, w naszej, opinii, miłosierdzie niż sprawiedliwość - radził Sancho Pansie Don Kichot.

Aby uświęcić te wzniosłe nauki, a także uwzględnić ducha równości, my, którzyśmy zwykli często opisywać i wynosić heroiczne czyny Hiszpanów w czasie wojny o niepodległość, a potępiać i złorzeczyć perfidii i okrucieństwu nieprzyjaciół, dziś opowiemy o zdarzeniu, które nie studząc w sercu miłości ojczyzny, umacnia inne uczucie, miłość bliźniego, nie mniej wzniosłe i głęboko chrześcijańskie. Jest to sentyment, który przez wrodzoną ułomność ludzkiego rodzaju, ustępuje, gdy rządzą twarde prawa wojny, może jednak i powinien błyszczeć, kiedy nieprzyjaciel został upokorzony.

Wedle osób zupełnie wiarygodnych, które mi o nim opowiadały, były z bliska jego uczestnikami, a nadal jeszcze żyją, rzecz miała się następująco. Posłuchajcie ich własnych słów.

## II

Odezwałem się: - Dzień dobry, dziadku.

- Bóg z tobą, paniczu - odpowiedział.
- Sami tak idziecie tą drogą?
- Tak, panie. Idę do mojej rodziny do Gador z kopalni w Linares, gdzie przez kilka miesięcy pracowałem. A pan?
- Idę do Almerii i nieco wóz wyprzedziłem, bo lubię piękne poranki kwietniowe. Ale jeśli się nie mylę, to modliliście się, kiedy nadszedłem. Możecie dalej się modlić, a ja sobie tymczasem poczytam, jeśli ten wóz będzie jechał tak wolno, że pozwoli mi uczyć się na środku drogi.
- Z tym czytaniem to jakaś zmyślona historia. Kto powiedział, że się modlił?
- No, przecież sam wiedziałem, jak zdjęliście kapelusz i przeżegnali się.
- No, patrzcie! Co mam mówić, że nie. Modliłem się. Każdy ma swoje rozrachunki z Bogiem.
- Święta prawda.
- Daleko pan idzie?
- Ja? Aż do zajazdu.
- No, to chodź pan tą ścieżką, to sobie skrócimy drogę.
- Z przyjemnością. Ślicznie wygląda ta dolina, więc zejdźmy do niej.

Idąc za staruszką zamknąłem książkę i zszedłem z szosy do malowniczego wąwozu.

Zieleń i przezroczystość dalekiego widnokrzęgu oraz obniżanie się terenu zdradzały bliskość Morza Śródziemnego.

Przez kilka minut szliśmy w milczeniu. Naraz górnik się zatrzymał.

- Jesteśmy! - wykrzyknął.

Zdjął ponownie kapelusz i przeżegnał się.

Staliśmy nad brzegiem strumyka pod grupką figowców już pokrytych liśćmi.

- Dalejże, dziadku - rzekłem siadając na trawie. - Opowiedzcie mi o tym, co się w tym miejscu wydarzyło.

- Co? Pan wie? - zdziwił się

- Wiem tylko tyle - dodałem z zupełnym spokojem - że tu umarł człowiek i wygląda, że umarł złą śmiercią. Wasza modlitwa mi to zdradziła.

- Święta prawda. To dlatego się modliłem.

Przyjrzałem się uważniej twarzy górnika i nabrałem przekonania, że był zawsze człowiekiem uczciwym. Prawie płakał modląc się długo i rzewnie.

- Usiądźcie tu, ojczy - rzekłem podając mu papierosa.

- No, więc posłuchaj pan. No, nie. Dziękuję bardzo. Ależ on cieniuśki.

- To weźcie dwa naraz, a będzie jeden dwa razy grubszy - odparłem dając mu drugiego.

- Bóg zapłać. Otóż, panie - rzekł staruszek siadając przy mnie - przechodziłem właśnie tędy czterdzieści pięć lat temu. Ranek był taki jak dziś i czas był ten sam.

Czterdzieści pięć lat! - pomyślałem.

Melancholia czasu ogarnęła moją duszę. Gdzie się podziały kwiaty owych czterdziestu pięciu wiosen? Na głowie staruszka bielił się śnieg siedemdziesięciu zim.

Widząc, że nic nie odpowiadam, wyciągnął krzesiwo, hubkę, zapalił papierosa i tak ciągnął dalej:

- Bardzo on słabiutki! Toż to, panie, jechałem wtedy z Gelgal z ładunkiem solanki i kiedy dojechałem do miejsca, gdzieśmy zeszli z drogi na tę zieloną ścieżkę, spotkałem dwu hiszpańskich żołnierzy prowadzących jeńca, Polaka. To było jeszcze

za tych pierwszych Francuzów, nie tych z 1823 roku, ale za tych innych...

- Wiem już. Mówicie o wojnie o niepodległość.

- Hej, to pana jeszcze na świecie nie było.

- A nie było.

- Hm, to pewnie było w książce, którą pan czytał. Ale książki milczą o większej części wojen. Piszą tylko to, co im bardziej odpowiada. A ludzie w to ślepo wierzą. To widać. Trzeba mieć siedemdziesiątkę na karku, jak ja na św. Jana, by coś o tym wiedzieć. Więc ten Polak służył u Napoleona. U tego łotra, co już umarł. Bo dziś, jak mówi ksiądz proboszcz, jest drugi. Ale myślę, że ten do nas nie przyjdzie. A co pan myśli?

- Cóż ja mogę wam powiedzieć?

- Prawda. Jeszcze o tych rzeczach pan nie studiował. Ksiądz proboszcz, który jest uczonym człowiekiem wie, kiedy skończą się Mamelucy na Wschodzie i kiedy przyjdą do Gador Rosjanie i Moskale, by nam zabrać konstytucję... Ale wtedy już mnie nie będzie... Wracam więc do mojej historii o Polaku.

- Kiedy ci, co z nim uciekali, cofnęli się do Almerii, biedak zachorował i pozostał w Fiñana. Jak się dowiedziałem później, miał gorączkę... Z litości zaopiekowała się nim jedna staruszka, nie zważając na to, że był nieprzyjacielem. (Pewnie od dawna już cieszy się rajem za swój dobry uczynek). Mimo, że to ją hańbiło, strzegła go ukrytego w swojej norze niedaleko od Alcazaby.

Do niej zaszli wracający do swojego batalionu dwaj żołnierze hiszpańscy. Chcieli przypalić papierosa od lampy w owej samotnej sadybie i znaleźli nieszczęsnego Polaka. Leżał w kącie i w gorączce wymawiał jakieś słowa w swoim języku.

- Zaprowadzimy go do naszego dowódcy - rzekli do siebie Hiszpanie - jutro tego łajdaka rozstrzelają, a dla nas posadka murowana.

Iwa, bo tak się Polak nazywał, jak mi później mówiła staruszka, chorował od sześciu miesięcy na febrę i bardzo był osłabiony, a wychudzony jak suchotnik.

Pocziwa niewiasta płakała i błagała ich tłumacząc, że cudzoziemiec nie może maszerować, że po pół godzinie padnie.

Tyle wskórała, że dostała kije za brak patriotyzmu. Nie mogę po dziś dzień tego słowa zapomnieć, choć go nigdy przedtem nie słyszałem.

Co do Polaka, to niech pan sobie wyobrazi: leżał powalony gorączką, a pojedyncze słowa, które wychodziły z jego ust, na wpół polskie i na wpół hiszpańskie, wywoływały śmiech u obu żołnierzy.

- Stul pysk, didon, psie, katanie! - krzyczeli na niego.

Potem siłą wyciągnęli go z łóżka.

- Nie będę pana zanudzał opowiadaniem. W takim stanie, na wpół nagi, maszerował pięć mil. Pięć mil, panie! Wie pan, ile to kroków pięć mil? To przecież z Fiñana aż do tego miejsca. Jeszcze pieszo i boso! Niech pan pomyśli: człowiek delikatny, przystojny młodzian i biały jak niewiasta, chory od sześciu miesięcy i w gorączce.

- Jakże to mógł znieść?

- Ha. Nie mógł!

- Ale w jaki sposób uszedł pięć mil?

- No jak? Przy pomocy bagnetów.

- Mówcie dalej, dziadku, mówcie.

- Ja szedłem tym wąwozem, jak zawsze, żeby sobie skrócić drogę, a oni szli tam górą. Przystanąłem w tym oto miejscu, aby zobaczyć koniec tej sceny, pociągając czarnego cygara otrzymanego w kopalni. Iwa dyszał jak pies, zanim dostanie ataku wścieklizny. Szedł z odkrytą głową, żółty jak odgrzebany trup, z dwiema różami-rumieńcami na policzkach, o oczach płonących, lecz zapadłych - niby Chrystus na drodze boleści.

- Mnie chcieć umrzeć. Zabić mnie na Boga - jęczał cudzoziemiec skrzyżowawszy ręce.

- Hiszpanie śmiali się z owych dziwactw i przezywali go Francuzem, didonem i innymi jeszcze obelgami.

Ugięły się w końcu nogi pod Iwą i runął jak długi na ziemię.

Odetchnąłem myśląc, że biedak oddał ducha Bogu.

Ale podniósł się, gdy go pchnęli bagnietem w ramię.

Zbliżył się wówczas na skraj doliny, by się w nią rzucić i umrzeć.

Żołnierze powstrzymując go, bo nie chcieli, by im jeniec umarł, dostrzegli mnie z mułem, jak powiedziałem, obładowanym solanką.

- Ej, kolego - krzyknęli na mnie celując we mnie z karabinu. - Przyprowadź no tutaj na górę twojego muła.

Uśluhałem bez ociągania się myśląc, że pomogę cudzoziemcowi.

- Dokąd pan jedzie? - spytali, kiedy stanąłem na górze.

- Do Almerii - odpowiedziałem. - A to co panowie robicie, jest nieludzkie.

- Tylko bez kazań! - ryknął jeden z oprawców.

- Sfrancuziały mulnik - rzekł drugi.

- Jeszcze raz otworzysz gębę, to zobaczysz, co się z tobą stanie.

Kolba karabinu uderzyła mnie w pierś.

Był to pierwszy przypadek, by mnie ktoś oprócz ojca uderzył.

- Nie drażnić, nie przeszkadzać - zawołał Polak siadając u moich nóg, bo znów upadł na ziemię.

- Zrzuć tę solankę - rozkazali mi żołnierze.

- Po co?'

- Żeby tego Żyda na muła wsadzić.
- A, to co innego. Zrobię to z wielką przyjemnością.

Powiedziawszy to, zacząłem zładowywać.

- Nie, nie, nie! - zawołał Iwa - Ty zostawić, by mnie zabili.
- Nieszczęśniku, nie chcę żeby cię zabili - zawołałem chwytając za rozpalone ręce młodego.
- Ale mnie chcieć. Ty na litość boską mnie zabić.
- Chcesz, bym cię zabił?
- Tak, tak, dobry człowieku. Ja dużo wycierpieć.

Łzy stanęły mi w oczach.

Przemówiłem do żołnierzy tonem zdolnym poruszyć głązy.

- Hiszpanie, rodacy, bracia. Błaga was Hiszpan jak wy, którzy ojczyznę kocha jak tylko kochać ją można. Zostawcie mnie samego z tym człowiekiem.
- A nie mówiłem, że to jest kolaborant! - zawołał jeden z nich.
- Diabelski poganiaczu! - rzekł drugi - uważaj na to, co mówisz. Bacz, bym ci łba nie rozwalili.'
- Żołdaku szatański! - odparłem z tą sama mocą. - Nie boję się śmierci. Jesteście łotry bez serca. Dwóch silnych i uzbrojonych chłopów na jednego bezbronnego, co umiera. Tchórze jesteście. Dajcie mi karabin, a będę się z wami bił, aż was pozabijam albo sam zginę. Ale zostawcie tego chorego biedaka, który bronić się nie może. Ach - ciągnąłem dalej widząc, że jeden ze zbójców się zarumienił - gdybyście mieli dzieci, jak ja, gdybyście pomyśleli, że może jutro znajdą się w ojczyźnie tego nieszczęśliwca, w tym samym położeniu, co on, same, umierające, z dala od rodziców. Gdybyście pomyśleli, że ten Polak może nawet nie wie, co tu robi w Hiszpanii. Może zabrano go od rodziny do wojska, by służył ambicji jakiegoś króla, Do kroćset, wy byście mu



przebaczyli, bo najpierw jesteście ludźmi, a potem dopiero Hiszpanami, a ten Polak jest także człowiekiem i waszym bratem. Co Hiszpania zyska przez śmierć chorego na febrę? Bijcie się do ostatka z wszystkimi grenadierami Napoleona, ale na polu bitwy. A słabych oszczędzajcie. Wspaniałomyślni dla pokonanych, chrześcijanami bądźcie, a nie katami!’

- Dość tych litanii’ - warknął ten, co przewodził w okrucieństwach i zmuszał Iwę pchnięciami bagnetu do maszerowania, ten, co za cenę jego trupa chciał sobie kupić posadę.

- Co zrobimy, kompanie? - pytał drugi na wpół wzruszony moimi słowami.

- To bardzo proste - odparł pierwszy. - Patrz!

I wystrzelił w serce Polaka, nie dając mi czasu, nie mówię, by temu zapobiec, ale nawet by mu przeszkodzić.

Iwo spojrzał na mnie tkliwie, nie wiem, czy przed śmiercią, czy już po śmierci.

Owo spojrzenie obiecało mi niebo, gdzie już chyba był ten męczennik.

Zabójca cudzoziemca odciął mu ucho i schował do kieszeni.

Było ono kredencjałem posady, której pragnął,

Potem rozebrał Iwę i obrabował nawet z medalika z wizerunkiem kobiety czy Świętej, który Polak nosił na szyi.

Następnie oddalił się w kierunku Almerii.

Pogrzebałem Iwę w tej dolince, tutaj, gdzie pan siedzi i zawróciłem do Gergal, bo poczułem się chory.

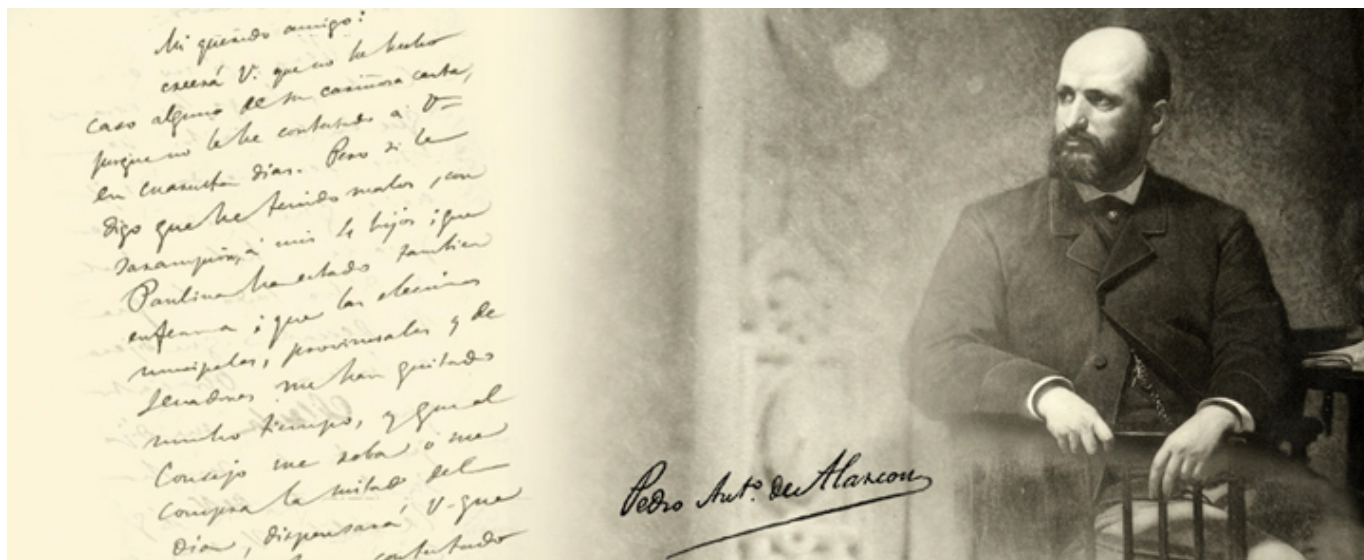
Istotnie, wydarzenie przyprawiło mnie o ciężką chorobę, która mnie nieomal uśmierciła.

- I nie spotkaliście tych żołnierzy więcej?

- Nie, ale z opisu, który mi dała później staruszka, dowiedziałem się, że jeden z

Hiszpanów nosił przezwisko Risas i że to był ten, który biednego cudzoziemca zabił i obrabował.

Gdyśmy tak rozmawiali, nadjechał wóz. Staruszek i ja weszliśmy na gościniec, uścisnęli sobie ręce i pożegnali się radzi z siebie. Obaj mieliśmy łzy w oczach.



Pedro Antonio de Alarcón (1833-1891).

\*\*\*

Trzy dni później w eleganckim kasynie w Almerii piłem kawę w towarzystwie kilku przyjaciół.

Niedaleko przy innym stoliku siedziało dwu starych, emerytowanych wojskowych. Ktoś, kto ich znał, objaśnił, że jeden z nich był majorem, a drugi pułkownikiem.

Mówili głośno, jak to ludzie przywykli do rozkazywania, tak że niechcący słyszeliśmy ich rozmowę.

Wnet uderzył mnie i przykuł moją uwagę zwrot pułkownika:

- Biedny Risas!

- Risas? - rzekłem do siebie. i zacząłem słuchać uważnie.

- Biedy Risas - ciągnął pułkownik - został wzięty do niewoli przez Francuzów, kiedy zdobyli Malagę. Wędrując z obozu do obozu znalazł się ni mniej, ni więcej tylko w Szwecji, gdzie przebywałem ja i ci wszyscy, którym nie udało się uciec z markizem de la Romana. Tam go poznałem, bo był znajomym Juana, który mi służył przez całe życie, czy raczej w czasie całej służby wojskowej. Tego Risasi wziąłem za ordynansa, kiedy Napoleon z całą bezwzględnością posłał do Rosji wszystkich jeńców hiszpańskich w składzie swojej wielkiej armii. Wtedy zauważyłem, że mój ordynans boi się panicznie Polaków, czy też czuje jakiś zabobonny strach przed Polską. Ciągłe pytał się Juana i mnie: „czy musimy iść przez ten kraj, by się dostać do Rosji?” Bardzo był zdumiony, że trzeba było. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że człowiek ten, nadużywający alkoholu, ale żołnierz dobry i znośny kucharz, musiał mieć jakąś sprawę z Polakiem, albo podczas wojny w Hiszpanii, albo w czasie swej długiej wędrówki przez inne kraje. Po przybyciu do Warszawy zatrzymaliśmy się tam na kilka dni. Nieopisany strach, jaki ogarnął Risasi, gdy stanęliśmy na polskiej ziemi, przyprowadził go o ciężkie zapalenie mózgu. Ponieważ polubiłem go, nie chciałem go zostawić samego. Kiedy przyszedł rozkaz wymarszu, postarałem się w moim dowództwie, żeby zezwolono Juanowi na pozostanie przy nim w Warszawie. Miał on niezwłocznie po przesileniu się choroby puścić się za mną z jakimś taborem ze sprzętem czy żywnością. Ciągnęło ich bowiem mnóstwo z chmarą ludzi, w której jako straż przednia szedł mój pułk. Jakież było moje zdziwienie, kiedy jeszcze tego samego dnia, po kilku zaledwie godzinach marszu, zjawił się mój stary ordynans przerażony wielce i opowiedział o tym, co się stało z Risasiem. Słuchaj pan, a zobaczysz, czy warto było pamiętać to czterdzieści trzy lata. Juan znalazł dla Risasi dogodnie miejsce u pewnej kobiety ze wsi, wdowy, która miała trzy dorosłe córki. Z chwilą przybycia Hiszpanów do Warszawy pytała wszystkich bez końca przez francuskich tłumaczy, czy nie wiedzieli czego o jej synu Iwie. W 1808 roku poszedł on na wojnę do Hiszpanii i od trzech lat nie miała od niego żadnej wiadomości, co nie zdarzało się innym rodzinom będącym w podobnej sytuacji. Ponieważ Juan umiał schlebiać, znalazł wnet sposób, by smutną matkę pocieszyć i przepoić nadzieją. Podjęła się za to opiekować się Risasiem, który w jej obecności zaatakowany chorobą zwałił się na ziemię. Kiedy przybyli do domu poczciwej niewiasty, a ona pomagała rozebrać chorego, Juan zauważył, jak zbladła i kurczowo uchwyciła srebrny medalion z miniaturowym wizerunkiem czy portretem. Risas zawsze go nosił na piersi pod ubraniem jako talizman czy amulet przeciwko Polakom, myśląc, że wyobrażał on

Matkę Boską lub jakąś Świętą tego kraju.

- Iwa, Iwa! - zawyła strasznie wdowa, szarpiąc chorego, który będąc w gorączce, wcale nie reagował.

- Przybiegły na to córki, i w lot pojęły, o co chodziło. Wzięły medalion i przyłożywszy go do twarzy matki znakami dawały Juanowi do zrozumienia, że ów portret był podobizną tej kobiety. Gdy jego rodak nie potrafił odpowiedzieć na pytania, zaczęły, patrząc mu w oczy, w niezrozumiałych słowach, gestach i pozach łatwo zdradzających hamowaną wściekłość, wypytywać go o tysiące różnych rzeczy. Juan rozłożył ramiona na znak, że nic nie wie o pochodzeniu tego portretu. Risasa znał tylko krótko. Pocziwa twarz mojego zacnego ordynansa musiała przekonać owe cztery rozwścieczone lwice o jego niewinności. Zresztą to nie on nosił medalion! Ale ten drugi! Tego drugiego, nieszczęsnego Risasa zabiły pięściami i rozdrapały pazurami. To wszystko, co o tym wiem. Nie udało mi się nigdy dociec, dlaczego Risas posiadał ten portret.

- Za pozwoleniem, opowiem panu - odezwałem się, nie mogąc dłużej już milczeć.

Podszedłem do stołu pułkownika i majora, którym mnie moi przyjaciele przedstawili. Następnie wszystkim im opowiedziałem straszną historię górnika.

Kiedy skończyłem, major, mężczyzna przeszło siedemdziesięcioletni, z prostą wiarą starego żołnierza, z wybuchowością prawdziwego Hiszpana i z całą powagą swych siwych włosów, zawołał:

Na Boga, panowie, w tym wszystkim jest coś więcej niż tylko przypadek!

---

**A. de Alarcón, P. Baroja, M. Cervantes, Losy Polaków: trzy opowiadania hiszpańskie, przełożył Florian Śmieja, Silican House, Missisauga, 2003.**

***M. Cervantes, Opowiadanie Polaka (w:) Losy Polaków, tłum. Florian Śmieja na Culture Avenue:***

<http://www.cultureave.com/opowiadanie-polaka/>